O czym marzy znikający kraj

4 kwietnia 2017

Litwa to właściwie polska ziemia! Kto tego nie słyszał, wychowując się w polskiej szkole na Mickiewiczu? Sama byłam swojego czasu na szkolnej wycieczce do Wilna z narodowo-nostalgicznym podtekstem. Teraz jednak przyjeżdżam poza sezonem turystycznym. Stare Miasto i centrum świecą pustkami, momentalnie przypominając o tym, że współczesna Litwa to nie raj utracony, tylko kraj z ogromnym problemem. Państwo, które od odzyskania w 1991 r. niepodległości systematycznie się wyludnia. Tylko w ciągu ostatnich dwóch lat straciło 110 tys. mieszkańców.

Z szefem centrum badań opinii publicznej Vilmorus Vladasem Gaidysem nie rozmawiamy o polskiej nostalgii za Litwą. Ale warszawsko-wileńskie porównania i analogie znajdują się same. Wystarczy nawiązać do ostatnich wyborów parlamentarnych i zapytać o ich zwycięzcę, Litewski Związek Rolników i Zielonych (LVŽS).

– Co sprawiło, że u władzy znalazła się partia, która już samą nazwą wprawiała zagranicznych komentatorów w kompletną konsternację?

– Gniew, bunt, chęć zmian – mówi Gaidys. – Niezgoda na dotychczasowy model polityki, w którym rządzili jawni gospodarczy liberałowie na zmianę z liberałami ukrywającymi się pod płaszczykiem socjaldemokratów. Rozczarowanie efektami transformacji i retoryką sprowadzającą wszystkich, którym się nie powiodło, do poziomu żałosnych sierot po Związku Radzieckim, czy raczej, jak zwykło się mówić w krajach bałtyckich, po sowieckiej okupacji.

Wielki żal z powodu faktu, że najsensowniejszą perspektywą jawi się emigracja. Kierunek? Znowu analogia z Polską – Irlandia, Wielka Brytania. A konkretnie miasta, gdzie trochę

Litwinów już jest, można znaleźć znajomych czy nawet litewskie organizacje, przy ich pomocy gdzieś się zaczepić, łatwiej pokonać choćby barierę językową, wyjątkowo uciążliwą dla tych Bałtów, którzy nie znają.

Bezpośrednio przed wyborami, które wyniosły LVŽS, u władzy byli socjaldemokraci. Jaką mieli receptę na te bolączki? Neoliberalną. Więcej rynku, łatwiejsze zwalnianie z pracy. Powtarzali znaną wszystkim mantrę: dzięki temu Litwa stanie się atrakcyjniejsza dla inwestorów. Ludzie surowo ich ukarali. Gaidys pokazuje mi badania popularności poszczególnych polityków prowadzone przez Vilmorus: lider socjaldemokratów Algirdas Butkievičius uzyskał na początku 2017 r. wynik -14 proc. A jeszcze rok wcześniej miał 56 proc. na plusie. Jego partia z 37 deputowanych zachowała siedemnastu. Utworzyła wprawdzie koalicję rządową z Zielonymi i Rolnikami, ale głównie dlatego, że na taki układ nie godziła się konserwatywna prawica. Przedstawiciele udawanej lewicy dostali zresztą w rządzie tylko teki ministrów spraw zagranicznych i gospodarki.
Wilno, do którego nie zaprasza się turystów / fot. Agatha Rosenberg

Litwini tak bardzo chcieli wybrać kogoś spoza establishmentu, że nie przejmowali się kompletnym brakiem konsekwencji i spójności w programie Zielonych i Rolników. W programie, na ulotkach wyborczych, w przemówieniach czołowych działaczy rządzącej aktualnie partii znajdziemy i chrześcijańskie wartości, i nacjonalizację sklepów z alkoholem, i troskę o zdrowie publiczne, trochę o decentralizacji, bardzo dużo o ekologii. Litwa ma nadal być jednym z najzieleńszych państw UE. Partia nie chce GMO, sceptycznie odnosi się do umów o wolnym handlu, wolałaby wspierać małych wytwórców ekologicznej żywności. „Współpraca jest ważniejsza niż globalna konkurencja” – stwierdza.

Programowy miszmasz na razie Zielonym i Rolnikom nie przeszkadza cieszyć się społecznym zaufaniem. Podobnie jak

fakt, że „antysystemowcami” z tylnego siedzenia kieruje oligarcha Ramūnas Karbauskis, właściciel majątku ziemskiego, postać bliższa ukraińskiej niż litewskiej estetyce sceny politycznej.

Karbauskis oprócz fortuny i większościowego pakietu w koncernie Agrokoncernas ma jeszcze polityczne wyczucie: kiedy już wiedział, że jego partia wygrała wybory, ale nie tak wyraźnie, by rządzić samodzielnie, ogłosił, że marzy mu się koalicja technokratów, specjalistów, sojusz ponad podziałami z każdym – chadekami (drugie miejsce w głosowaniu), socjaldemokratami, może nawet z jednymi i drugimi, byle nie z najbardziej zdeklarowanymi wolnorynkowcami z Litewskiego Ruchu Liberałów. Prezydent Grybauskaite próbowała patronować negocjacjom z chadekami – nie wyszło. Ostatecznie do koalicji weszła „lewica”. Ale skład rządu i tak ustawił Karbauskis: na jego czele postawił Sauliusa Skvernelisa, byłego szefa litewskiej policji, bo właśnie ta instytucja w ostatnich latach jawiła się Litwinom jako miejsce, gdzie naprawdę zachodzi „dobra zmiana”. Znowu wjeżdżają na stół wykresy badań opinii publicznej Vilmorusa – policjanci na jednym z czołowych miejsc w rankingu zaufania. A byli daleko w tyle, podkreśla Vladas Gaidys. Jeszcze dekadę temu uważano policję za jedną z totalnie skorumpowanych, sprzedajnych instytucji. Dziś Skvernelis, niczym litewski szeryf, prowadzi w tym samym rankingu, w którym tak haniebnie spadł lider socjaldemokratów. Wysoko są też, jak na razie, jego ministrowie, w większości kompletnie świeże twarze. Jeszcze korzystają na tym, że ludzie dają im kredyt zaufania, bo nie są z poprzedniego układu sił.

Efekt świeżości prędzej czy później jednak przepadnie. Już przepada, notowania Zielonych i Rolników sukcesywnie spadają, chociaż nadal wyprzedzają sondażowe oceny pozostałych formacji. Kluczem będzie to, w jaki sposób rządzący zmierzą się z prawdziwym problemem Litwy, jakim są niskie płace. Koszty pracy na Litwie należą do najniższych w Europie. To przez niskie zarobki aż tylu jest chętnych do emigrowania. W

tym studentów, takich samych jak w Polsce młodych ludzi, których przekonano, że dyplom, nauka angielskiego, bezpłatne staże i ciężka praca otworzą im drogę do eldorado. Czy oligarcha Karbauskas chce i umie zmierzyć się z problemem niskich płac? Nie chce mi się w to specjalnie wierzyć. Znowu zastanawiam się nad analogią z Polską – czy przypadkiem nie będzie tak, że zmęczonemu społeczeństwu nie zostanie podsunięty temat zastępczy? Może jednak zostanie nakręcona sprawa uchodźców, których na Litwie nie ma, ale bać się ich można zawczasu, a może więcej rusofobii, tym bardziej, że Rosjanie już są?

Vladas Gaidys stara się mnie przekonać, że temat migrantów nie chwyci.

– Fakt, w ubiegłym roku był napad na ośrodek na uchodźców w małym miasteczku (sprawdzam potem: to było w Rukłem, okręg kowieński, ok. 2300 zameldowanych mieszkańców, w napadzie ucierpiały dwie kobiety). Ale to jednostkowy wypadek.

W przypadku rusofobii również prostego podobieństwa litewsko-polskiego nie znajdziemy. No, może na poziomie medialnym, tu środki masowego przekazu śmiało mogą rywalizować. Ja dodałabym jeszcze wypowiedzi polityków, przecież to prezydent Litwy jesienią 2014 r. ogłosiła, że Rosja jest państwem terrorystycznym, a Ukrainie w walce z nią potrzebna jest bezpośrednia militarna pomoc. W roku następnym w tradycyjnym orędziu ogłosiła natomiast, że Rosja, członek Rady Bezpieczeństwa ONZ, stała się agresorem, co jej zdaniem jest sytuacją kompletnie bez precedensu.

Ale przeciętny mieszkaniec Litwy, twierdzi socjolog, ma swój rozum. Nie drży przed najazdem ze wschodu. Może drżał przez chwilę, gdy w mediach królowały dramatyczne obrazy z Majdanu. Przecież, zwłaszcza w miastach, praktycznie każdy zna jakichś tutejszych, litewskich Rosjan, wie, że to ludzie tacy sami jak inni. Mają takie same problemy, tak samo wyglądają, tak samo przeciętnie niewiele zarabiają. Do tego, podkreśla Gaidys, w

odróżnieniu od Rosjan łotewskich czy estońskich o wiele częściej znają bardzo dobrze litewski i poznawali go jeszcze „za okupacji”, nie po 1991 r. Między innymi dlatego rząd Litwy, w odróżnieniu od włodarzy łotewskich czy estońskich właśnie, zdecydował się w 1999 r. wprowadzić „opcję zero” w kwestii obywatelstwa. Paszport dostawał każdy chętny, nawet były oficer armii radzieckiej, bez żadnych egzaminów ani testów na lojalność. I nie zawaliło się państwo litewskie, funkcjonuje dalej razem z posiadającą pełnię praw politycznych blisko 220-tysięczną społecznością rosyjskojęzyczną. A Litwini, jeśli już zaczynają szukać irracjonalnych przyczyn swojego niedostatku, prędzej zaczynają winić korupcję, rozdmuchując jej rozmiary, nie dzielić się po linii narodowej.

Zdarzają się jednak incydenty. Jak zabójstwo kompozytora i muzyka jazzowego Tomasa Dobrovolskisa, śmiertelnie ugodzonego podczas bójki parasolem w oko 24 grudnia 2014 r. przed klubem w centrum Wilna, i pobicie dwóch innych klientów lokalu. Proces w tej sprawie zaczął się w styczniu. Obaj poszkodowani zgodnie zeznają – grupa oskarżonych, młodych mężczyzn w wieku od 23 do 27 lat, rzuciła się na nich, bo nie chcieli wznieść wulgarnego toastu, którego antybohaterem był Władimir Putin. Ba, jeden z pobitych śmiał zażartować, że Litwie przydałby się taki polityk.

Ma też Litwa swoje muzeum okupacji, zajmujące dawny gmach KGB na spółkę z Sądem Najwyższym. Jego organizatorzy poszli nieco w inną stronę niż twórcy takiej samej placówki w Rydze. Owszem, podkreślają cierpienie niewinnego narodu litewskiego, którego członkowie nigdy żadnym złem się nie splamili, ale przede wszystkim przekonują o znakomitej organizacji i waleczności tutejszej antykomunistycznej partyzantki. „Żołnierze wyklęci” toczący beznadziejną walkę? Raczej niezłomne, dobrze wyposażone i znakomicie dowodzone grupy, które mogłyby nawet z Sowietami wygrać, gdyby nie utworzenie przez nich rozgałęzionej sieci agentury, sięgającej do każdej wsi, do każdego leśnego oddziału.

Podnoszenie i nadmuchiwanie zasług własnych, nie opowieść o niekończącym się cierpieniu – to, zdaje się, klucz do litewskiej polityki historycznej. XIX- i XX-wieczni ideolodzy małego litewskiego państwa narodowego odcinali się od zbyt mieszanego pod względem narodowości i religii Wielkiego Księstwa Litewskiego, śniąc za to o „czysto litewskiej” Litwie średniowiecznej, jeszcze sprzed marszów Giedymina na południe, ku ziemiom ruskim. To już nieaktualne. Ich współcześni kontynuatorzy z dumą przypominają o potężnym terytorialnie WKL, zamierzają otwierać w Wilnie muzeum historii miasta, w którym swoje miejsce znajdą różne narodowości. Tacy kiedyś byliśmy potężni, my, Litwini, takie państwo zbudowaliśmy i mu przewodziliśmy, tej potęgi jesteśmy moralnymi dziedzicami, opowiadają. My, bardziej niż Polacy, o Białorusinach (lwia część mieszkańców WKL!) nie mówiąc.

Pod pewnym względem taki sen o potędze jest bardziej pociągający niż prostacka „Litwa dla Litwinów”, które to hasło wywrzaskują na Prospekcie Giedymina nieliczni skrajni nacjonaliści w święto narodowe 11 marca.

– Naprawdę nieliczni – pytam Gaidysa – nie tak, jak w Polsce w listopadzie?

– Naprawdę – odpowiada – widzimy ich co roku z balkonu naszego biura.

Mówiąc te słowa prowadzi mnie na tenże balkon, pokazując, jak mówi, najpiękniejszy miejski pejzaż w całym Wilnie. A potem dodaje, że inny widok z tego samego miejsca dodał mu wiary w Litwę – to, jak w 2016 r. szła prospektem parada równości. Eksperci obawiali się, że zostanie zaatakowana, jak trzy lata wcześniej, a tu nie: kolorowy tłum maszerował przez półtorej godziny, potem bawił się na koncercie. Zupełnie jak na zachodzie, tym samym, który litewscy politycy „doganiali” neoliberalną polityką, wpędzając ludzi w biedę albo wyrzucając na emigrację.

Przebłysk zachodu przeszedł – i zniknął. Ja, wyjeżdżając z Wilna autobusem, spotykam cień czego innego – różnorodności, którą tak lubią się szczycić piewcy potęgi dawnej Litwy. Autokarem do Niemiec przez Warszawę ciągną Litwini, Rosjanie, miejscowi Polacy, znajdują się też Ukraińcy, którzy jakiś czas mieszkali i pracowali na Litwie, ale teraz uznali, że czas poszukać czegoś lepiej rokującego. Jadą razem, bez skakania sobie do oczu, bo i po co, kiedy wszyscy jadą z tą samą obawą i nadzieją, po równo zmęczeni.

Autorstwo: Agatha Rosenberg
Źródło: Strajk.eu